Czasopismo Literackie

CZĘSTOCHOWA,
CZERWIEC 1936 R.
№ 1. — Rok 1.

CENA EGZEMPLARZA 60 GR.

Redakcja Czas. Lit. przeznacza z każdego numeru na Fundusz Obrony Narodowej 10 gr.

TREŚĆ Nr. 1:

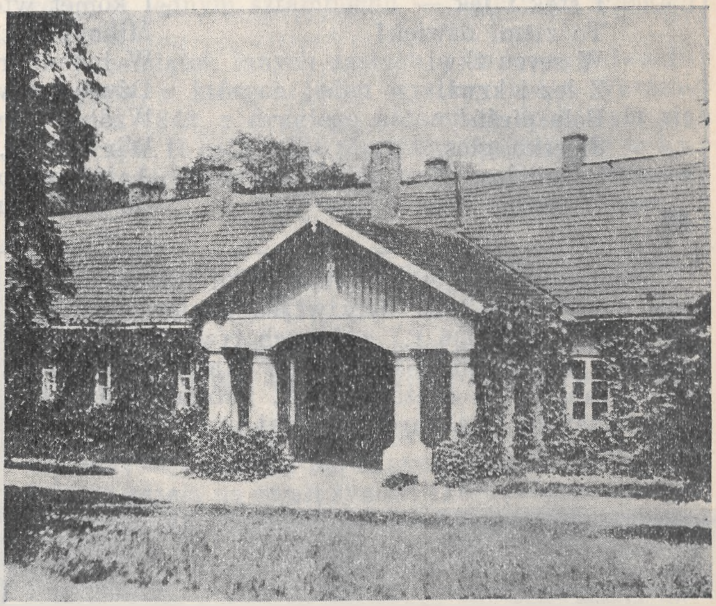
Czasopismo Literackie

JÓZEF MIKOŁAJTIS.

W siedzibie Zygmunta Krasińskiego

w odległości dwudziestu sześciu kilometrów od Częstochowy, w kierunku południowo-wschodnim, leży malowniczy Potok Złoty. nie będziemy wnikali w przeszłość jego historyczną, sięgającą poza wiek XVI, gdyż zaszlibyśmy zbyt daleko. wystarczy wspomnieć, że był własnością Koniecpolskich, Potockich, Pruszaków i księcia Kurlandji — Ernesta Karola. po księciu Kurlandji właścicielami Potoka byli Skarżyńscy, a następnie Wincenty hr. Krasiński — ojciec Zygmunta. właściciel obecny Potoka jest wnukiem poety po kądzieli. pałac starożytny odbudowano w r. 1905, a dworek staropolski, w którym mieszkał poeta, odrestaurowano. w cieniu lip starych, porosły winogradem dzikim, z gankiem, wspartym na kolumnach, sprawia nadzwyczaj miłe wrażenie i dopomina się o pędzel artystyczny.

będąc przed półtora rokiem w Potoku Złotym, miałem możność obejrzenia wszystkich pamiątek po Zygmuncie Krasińskim. są one otaczane wielką pieczołowitością przez Karola i Stefanję z ks. Światopełk-Czetwertyńskich hrabiów Raczyńskich. dzieła sztuki, tyczące się rodu Krasińskich, porozmieszczane są w pałacu, a przedewszystkiem w salonie. spośród nich zwraca uwagę portret poety, malowany przez Ary Scheffera, (specjalnie oświetlony elektrycznością,) portret Elizy z Branickich Krasińskiej w otoczeniu dzieci, portret Marji z Krasińskich hr. Raczyńskiej, portrety dzieci — i rodziców poety, przyczem na uwagę zasługuje dedykacja gen. Wincentego Krasińskiego, treści następującej:



dworek w Potoku Złotym, zamieszkiwany przez Zygmunta Krasińskiego podczas pobytu w roku 1857.

OYCIEC DAIE CI SWOY OBRAZ
ZYGMUNCIE Z BŁOGOSŁAWIEŃSTWEM, NIECH CI
KOCHANIE A WNUKOM TWOIM
POCZCIWOŚĆ PRZYPOMINA.
NICEA D. 19 LUTEGO 1846.
33-cia ROCZNICA URODZIN
ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.
W: K:

oprócz wielu minjatur — mnóstwo drogocennych kosztowności, których większość jest w prze-

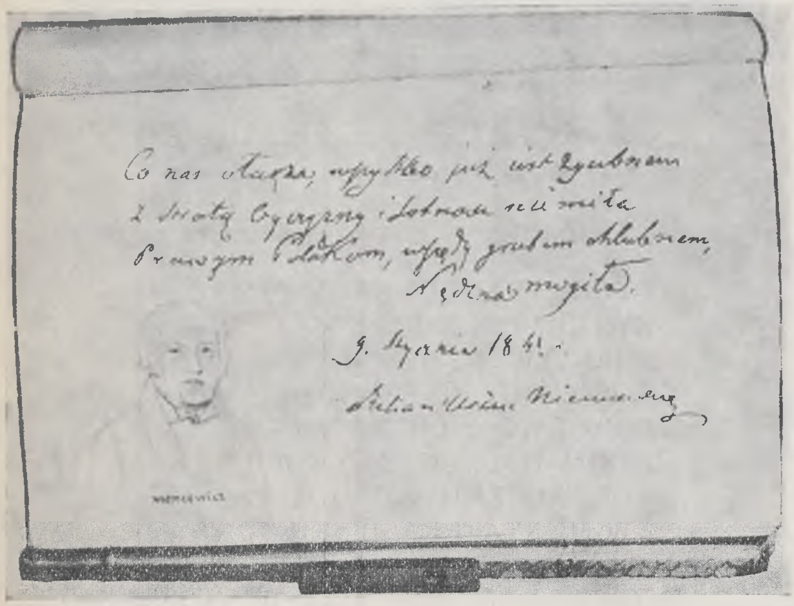
chowaniu zamkniętem. na uwagę zasługuje ponadto pianino mahoniowe marki „Erard“, wybierane przez Fryderyka Chopina i Zygmunta Krasińskiego dla Delfiny Potockiej. w wewnętrzną stronę wieka pianina, (jak niżej,) wprawiona jest plaketa srebrna z wierszem wyrytym, który przytaczam w całości, ponieważ cokolwiek różni się od tekstu, podanego w wydaniu jubileuszowem Czubka:

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
Burzy Grom,
Zwalisk łom
Waśni sczęk,
I krzyk i ryk,
I stęk i jęk
To ziemi dźwięk!
W sercu tkwi
Z łez i krwi,
Bolu pieśń!
Smętku głos,
Rzucił los,
W każdą pieśń!

Lecz inny ton,
Ducha wiew,
Rytm i śpiew,
Z niebieskich stron.
Na stronach lat
Klawiszem — świat.
Przestrzeń, czas
Słońc wszystkich chór
I komet wtór,
Miliony nót,
W hymnu rzut,
Dźwięczą wraz!
Wzdłuż — wszerz — wskos —
Wir i ruch,
A jeden głos,
Bo jeden duch!

O Boże Móy!
Tym stronom, tym,
I piersiom mym,
Day taki stróy!
Day miarę miar.
Harmonij dar!
Dźwięków Bóy,
Zmień w dźwięków cud,
W akkord zgód.
O Boże Móy!
Tchu święty! Zstąp
W grobową głąb.
W serca cieśń!
Zstąp i wioń — !
A zagrać dłoń
Anielską pieśń! —

równie ważny jest Album Trzech Wieszczów, o czem dane szczegółowe były w jednodniówce Drugi Tor z kwietnia 1936 r. z danych tych przytaczam niektóre: album ma 64 karty w stanie obecnym: 13 zapisanych, 51 niezapisanych, natomiast 6 kart jest wyciętych. na karcie drugiej *pro memoria* ręką Niemcewicza:



autograf J. U. Niemcewicza w AlbumieTrzech Wieszczów.

Co nas otacza, wszystko już iest zgubnem
Z stratą Oyczyzny i lotność nie miła
Prawym Polakom, wszędy grobem chlubnem,
Nędzna mogiła.
9 stycznia 1841 r.

Juljan Urzin Niemcewicz.

Na karcie trzeciej *Stepy* Mickiewicza.
Na karcie czwartej — wiersz Słowackiego:

Chciałbym ażeby tu wpisane słowo
Jeśli na wieki ma słowem pozostać;
Aby słów miało nieśmiertelnych postać

Albo posągów piękność marmurową —
Lub jak Walkhirje co noszą nad głową

Wieniec z piorunów i we krwi szeleszczą;
Chciałbym ażeby miało taką wieszczą

Groźbę i skrzydła i twarz piorunową.

Lecz słowo martwe — Ale wy jesteście
Jako Walkhirje z północy przybyłe,
Pod wasze stopy rzucamy niewieście

Grobowce nasze — A wy na mogiłę
Wstąpcie — a kto wart życia — tego wskrzeście.

Juliusz Słowacki.

Paryż 29. Czerwca 1841. r.

na karcie szóstej i siódmej jest wiersz Zygmunta Krasińskiego *Do moskali,* ale bez tytułu. wobec tego, że w wydaniu Czubka wiersz ten opar-

ty jest na kopji niezbyt dokładnej, (K 1;) przeto uważam za stosowne uzupełnić niektóre właściwości autografu, znajdującego się w tym sztambuchu. na str. 130 w w. 1 wyd. Czubka winien być przecinek po wyrazie *łańcuch*, a nie po *zgotowany;* w w. 3 — dużą literą wyraz *Duch;* w w. 7 jest przecinek po wyrazie *ochłodzę;* w w. 9 brak przecinka po *ciasny;* w w. 10 brak przecinków po wyrazach *lepszy* i *zaimki;* w w. 13 brak przecinka po *mówić;* w w. 15 jest przecinek po *wami;* w w. 16 — przecinek po *tryiumfu;* w w. 10 st. 131 jest dwukropek po *póydę:;* w w. 11 jest *Ją;* w 13 — *Duch;* po *piętno* — przecinek; w. 14 brak przecinka po *musi;* wykrzyknik po *będzie!;* w. 16 brak przecinka po *Tak* i *Romeo;* w. 17 — w *Wieczności;* brak przecinka po *wniebowzięty;* w. 18 — z *Wniebowziętą;* w. 23 brak przecinka po



staw „Irydjon" w Potoku Złotym.

myśleć; w. 25 — *Hańby;* brak przecinka po *chcę;* trzykropek po *trwogi...;* w 6. str. 132 brak przecinka po *wyssałem;* w. 8 — *Dobrem;* w. 10 brak przecinka po *zasłonę;* w. 11 — *Boga;* w. 12 — *Wszechwiedza;* w. 17 brak przecinka po *Iskra;* w. 18 brak przecinka po *Duma;* brak przecinka po *skusi;* w 21 — *Tak żyłem żyjąc, tak konając zginę!;* w. 22 — *Wiem, że* w. 23 — *Wam, Los.,*— wiersz jest podpisany literą *Z.*

ponadto są w albumie wiersze: Bohdana Zaleskiego, Konstantego Gaszyńskiego, A. Goreckiego i Al Przeździeckiego. Album ten był własnością Elizy Branickiej, poczem przeszedł do rąk Adama Krasińskiego, ostatniego Ordynata opinogórskiego linji starszej. nazwę Album Trzech Wieszczów uważam za najodpowiedniejczą, gdyż zebranie wierszy naszej trójcy w jednym sztambuchu — należy do wielkich rzadkości.

z pamiątek innych zasługują na uwagę dwa listy poety, z których jeden wysłany był z Warszawy w r. 1849, z drugiego natomiast dochowała się tylko część II listu. list pierwszy znajduje się w kopercie, zaadresowanej ręką poety: „Do Willanowa
ból oczów.
1849 R."

Treść — następująca, poprzedzona uwagą wstępną:

„SPAL LIST TEN."

„Gdym wracał wczoray ,to mię w oczy zawiało — dziś bardzo bolą i ledwo mogę te kilka słów nakryślić —
Bragel(o)na posyłam — Dzieci zdrowe — u Ksawer Plat — Jakże się ma Alexandryna?
Gri.-wa kazała na gwałt synowi i córce się szczepić — — Wołała dziś do siebie mego Oyca, w przerażeniu dopytywała się o szczegół wszelaki z Wilanowa — Wydaie się iey że ponieważ osoba arystokratyczna dostała, więc i do niey zbliża się Jad ten, że iuż bliski iey ugodnioney głowy — choć ieszcze ma przeskok do uczynienia przez rów który dzieli Hrabiów od Książąt — !!!
Doskonałe —
Rachunkim popłacił — Emilam naganił —
Bóg cię strzeż i obłogosławiay —
Jutro będę ieśli mi oczy dozwolą —
Z Ludwikową źle — zda się, iuż ztąd nie ruszy —
Vado był bardzo chory — ale iuż zdrów — Krepin kocha się w Borchowey (?) i zawsze taki sam co do *ludu mego*, ale nie tak głośno rzeczy robi iak dawniey."

(ciąg dalszy w numerze następnym.)

WŁADYSŁAW KOŚMIŃSKI.

Pogląd Adama Chmielowskiego na sztukę

...Monachjum, słynne akademją malarską, nęciło go i wprost przyciągało do siebie. Rzuca więc Gandawę, gdzie się oddawał studjom inżynierji, i z całym zapałem oddaje się teraz sztuce, która w stolicy Bawarji wspaniałą już miała tradycję. Spotyka tu Chmielowski kolonję polskich artystów, wybitne talenty, z którymi wchodzi zaraz w serdeczny stosunek koleżeński. To Brandt i Chełmoński, Stanisław Witkiewicz, Grottger; dwaj bracia Gierymscy, Aleksander i Maksymiljan, malarze, którzy niebawem wejdą na Parnas, do przybytku sławy światowej.

Chmielowski zajął w tem gronie koleżeńskiem miejsce wprost wyjątkowe. Wstępnym bojem zdobył i podbił serca, imponując szerokim horyzontem myśli i głębokiem rozumieniem sztuki. W dyskusjach, jakie toczono „w sztabie" na temat sztuki, wypowiadał Chmielowski śmiało swoje poglądy, wybiegające daleko ponad przeciętność i szablon, poglądy, zdradzające niepospolitą intuicję artystyczną i polot wysoki ducha. I jeśli ustalono już przekonanie, że cały późniejszy, dni naszych jeszcze sięgający, rozmach sztuki polskiej wyszedł właśnie z tego ogniska „monachijskich Filaretów", to również niezaprzeczony jest fakt duchowego wpływu Adama Chmielowskiego na tych pionierów sztuki.

Za dawnych czasów monachijskich — opowiadał wiele lat później Witkiewicz metropolicie Andrzejowi Szeptyckiemu — Chmielowski miał u wszystkich reputację znakomitego krytyka, tak, że nieraz koledzy przynosili mu szkice, obrazy, a on robił im swoje uwagi; na te uwagi byli tak wrażliwi, że wystarczało, by się Chmielowski skrzywił, a obraz był przemalowany, lub w ogień rzucony. *) Inna rzecz, że ten sam Stanisław Witkiewicz w swoich poglądach na zadanie i cel sztuki już w Monachjum różnił się zasadniczo od swego wybitnego kolegi — przyjaciela. Wielbiciel przyrody i piękna w niej zaklętego, podkreśla Witkiewicz znaczenie „kształtu, barwy i światłocienia". Malarstwo nie potrzebuje zwracać uwagi na treść i myśl obrazu, jego przedmiot, nie może też służyć celom i problemom życia wogóle, bo zadanie jego w innej leży sferze, inne ma założenie ideowe, inną linję wytyczną.

———

*) Patrz broszurę: Ze wspomnień o Bracie Albercie — ks. Andrzej Szeptycki, Kraków, 1934 (wydawnictwo XX. Jezuitów)

Więc podział malarstwa dotych. na: rodzajowe, historyczne, religijne, nie powinien właściwie żadnej odgrywać roli, skoro kwintesencję wszystkiego stanowi strona techniczna.

Ale i ten opozycjonista — jak już wyżej wspomniano — przyznawał chętnie, że Chmielowski w „sztabie" monachijskim był prawdziwym autorytetem.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Zobaczmy teraz, jak się ustosunkował do sztuki malarz Adam Chmielowski? Poznajmy jego kanony, czyli koncepcję ideową sztuki.

Punktem wyjścia jest tu niewątpliwie szczere umiłowanie piękna, w najszlachetniejszem, w idealnem tego słowa znaczeniu. Natura wrażliwa, subtelna, nienawidząca banalności w sztuce, nie uznająca i nie licząca się (jak to było u niektórych malarzy „minorum gentium"), ze zmienemi kaprysami publiczności, byle tylko zyskać oklaski i pokup, — staje odrazu na wyżynie, z której chce promieniować na zewnątrz.

Już w pierwszym okresie swej artystycznej twórczości, w Monachjum, staje zdecydowanie na stanowisku, że sztuka, — to nie rzemiosło, ale służba idei, wzniosłe posłannictwo, prawdziwe kapłaństwo. Pogląd ten podzielali do pewnego stopnia jego koledzy — przyjaciele, stawiający sobie za cel dźwignięcie polskiego malarstwa na poziom europejski. A kiedy, — jak już wspomnieliśmy wyżej, — wystąpił ze swą tezą Stanisław Witkiewicz, odpowiada mu Chmielowski w świętem uniesieniu:

W was niema nic chrześcijańskiego! Ja myślę, że służyć „sztuce dla sztuki", to zawsze wyjdzie na bałwochwalstwo... Trzeba, jak Fra Angelico, sztukę i talent poświęcić Bogu!...

Tego rodzaju rozumowanie miało swą głębię filozoficzną. Bo był Adam Chmielowski umysłem zwartym w sobie, a wybiegającym daleko ponad miarę przeciętną śmiertelnych. Jeśli w listach do Lucjana Siemieńskiego pisze, że pragnąłby się poświęcić malarstwu religijnemu, to nie jest to bynajmniej jakąś dewocją, na dnie duszy drzemiącą bigoterją, ale męskie wyznanie swego artystycznego „Credo", uznającego Stwórcę, jako źródło Piękna. Tak. On ma to wyczucie subtelnej inteligencji, jak św. Franciszek z Assyżu, który widział Bóstwo w cudnej harmonji wszechświata. Mistyka tego genjusza świętości, którego w średniowieczu drugim zwa-

no Chrystusem (alter Christus), jego filozofja przyrody, widząca wszystko w świetle Bożej miłości, dostrzegająca w barwach kwiatów uśmiech samego Stwórcy, w blaskach gwiazd, w krasie borów i w wichrów poszumie, delikatną, misterną zasłonę, za którą Pan jest ukryty, — nie mogły pozostać bez wpływu na psychikę Adama Chmielowskiego, nastawioną podświadomie na działanie tego rodzaju koncepcji. To też, jeśli nasz artysta, idąc za włoskim Poverello, w pięknie rozlanem w całej hierarchji stworzenia, widzi odblask, jak gdyby promienie Nieskończonej Piękności, to nie dziw, że i w dziełach sztuki szuka tego Bożego pierwiastka, ideowego zabarwienia, czyli głębszej myśli. To też tłumaczy, dlaczego na takim piedestale stawia religijne malarstwo. Dlaczego tak wiele wymaga od artystów. Wymaga od nich przedewszystkiem wiary głębokiej i szczerej. „Chcąc zrobić obraz religijny — pisze do Siemieńskiego — trzeba wierzyć ślepo i w obrazie najpewniej i najszczerzej powiedzieć to, co się myśli, inaczej, jest to komedja, dowód na to najlepszy, że malarze religijni śmieją się z Perugina".

Chmielowski widzi najściślejszy związek pomiędzy obrazem, a jego twórcą. Oto jego słowa: „Mówią, że styl, to człowiek; nie wiem, o ile to prawda, ale że obraz i ten, co go robi, to jedno, o tem jestem dowodnie przekonany..."

Wracając do studjów jego w Monachjum, podkreślić należy jego zainteresowanie się kulturą antyczną. Poza pracą w akademji, gdzie studjuje naturę i żywy model, zagłębia się w dzieła greckich filozofów, zwłaszcza Platona. „Rzymianie mniej mnie obchodzą, — pisze, — zanadto adwokacki naród, mają też jednak swój szczyt, a najciekawsze są pierwsze wieki po Chrystusie, a raczej chrześcijanie i cała cicha poezja i ich myśli, przeniesione do pogańskich grobów..."

W tym pierwszym okresie monachijskim, interesuje się też oczywiście kierunkami najnowszemi współczesnego malarstwa. Niezbyt zachwyca się Matejką, zato zachwyca się subtelnością Grottgera, swego towarzysza pracy. Maluje w tym czasie, a raczej szkicuje, Franciszkę z Rimini i Paola, kompozycję, do której „Comedja divina" Danta była mu natchnieniem. Dalej obrazy „Marzenie", „Bajka o dobrym synu", projektuje obrazy z bajek o kwiecie paproci, o jakiejś zaklętej księżniczce, o starych podaniach i t. d.

Obrazy te cechuje względny spokój formy, treści i kolorytu.

Dopiero okres następny, od r. 1875 zaczynający się w Warszawie, okres artystycznej samodzielności, wolny od wpływów doktryny akademickiej, daje artyście prawdziwe laury i sławę. Występuje tu w całej pełni, jako impresjonista. Jego „Pogrzeb samobójcy", wywiera wprost wstrząsające wrażenie. Następują potem prace więcej spokojne, przeważnie duchem religijnym przepojone, bodaj kojące („Ogród miłości" — „Cmentarzysko" — „Wizja błog. Małgorzaty".). W Warszawie styka się z wybitnemi osobistościami: Sienkiewiczem, Heleną Modrzejewską. W Krakowie — z Jackiem Malczewskim, Wyczółkowskim, Pochwalskim. Ostatni etap Chmielowskiego w dziedzinie artyzmu, — to okres po r. 1888. Najmniej płodny, wydaje w dalszym ciągu rzeczy, owiane mistyką religijną, których szereg kończy obraz „Ecce Homo", będący dziś w posiadaniu metropolity Szeptyckiego.



S. Aniela Józefowicz: Św. Franciszek. (linoleoryt).

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, iż ten świetny malarz, znany i ceniony na wystawach w Monachjum, Wiedniu, a bodaj i w Paryżu — to późniejszy Brat Albert, pokorny brat franciszkański, założyciel Zgromadzenia, co roztacza białe skrzydła opieki i miłości nad tymi, których nędza zepchnęła na samo dno przepaści.

LUDOMIR KUCHARSKI

Na Jasną Górę



Szła powolutku za innymi stawiając obolałe nogi. Nie skarżyła się. Ba, stara już była. Będzie jej chyba 80 roków, a może i więcej. Zgubiła rachubę. Niech ta! Cóżby pomogło, gdyby miała o rok mniej? Nic!

Pył przydrożny, unoszący się zpod nóg, idących na przedzie, łaskotał gardło, osiadał na wychudzonych policzkach, czepiał się rąk i ubrania, przylegając uporczywie szaremi mackami.

Ochfiarowała się.

Mówili w pielgrzymce, że cosik z nią niedobrze wedle rozumu. Uśmiechała się tylko, spoglądając na widoczny, wysoko niesiony krzyż przez Antka, syna Grzegolaka.

— Niech ta — powtarza dobrotliwie — taka znów durnawa to nie jest, ale ludzie zaraz wszystko przeinaczą.

— Ho, pamięta!

Nawałnica się wtedy rozszalała. Ludzi poszło moc. I walki były, że... — tu stara Martynowa obtarła łzę — pamięta. Mąż poszedł razem z Marysiem, jej synem. Musieli. Sołtys przykazował, że ojczyzna w niebezpieczeństwie.

Modliła się wtedy za nich, za tę ojczyznę, co potrzebowała ratunku... modliła się w ten dzień słoneczny, parny, kiedy zachodzące słońce kładło kawowy odblask na szare, błękitne i kolorowe mundury ,tych, co legli w wielkiej chwale wojennej. Rozśpiewała się wówczas cała Polska i wstała wolna.

Powiedzieli to jej... i to, że syn i mąż oddali życie za świętą sprawę wydźwignięcia Polski z upadku.

Zapłakała sobie Martynowa.

Co rok Martynowa chodziła, wpatrzona w wysoko niesiony krzyż. Tyle lat... tyle modlitw pochylonej staruszki płynęło zawsze do stóp Orędowniczki... Na Jasną Górę.

— Nic to — mówiła ze łzami — musiało tak być, kiej się stało. Ale Polska jest!

Wiedziała to.

A choć spoglądali na nią i nie rozumieli, uśmiechała się tylko dobrotliwie.

— — — — — — — — — — — —

Szła powolutku za innymi, stawiają obolałe nogi.

Marcinowa chciała pomóc i nieść jej tabołek, ale uparła się.

Zamglone oczy stale przesuwały się, szukając na widnokręgu strzelistej wieży. Znała doskonale drogę, tylko teraz ździebko siły ją opuściły. Nie zdradzała się z tem. Jeszczeby ją ludzie ostawili — przecieg z chorą nie pójdą.

I zdało się jej nagle, że naprzeciw wyszedł mąż Ignacy Martyna z synem Marysiem, wzięli ją pod ramiona, a mąż podał butelkę wody.

Otrzeźwiło ją to. Otworzyła oczy.

— Zbierajta się kumo — posłyszała.

Nad nią pochylona stała Morcinowa.

— Zemgliło was trochę ze słabości. Nasi już odeszli szmat drogi. Weźta się. Macie się lepiej?

— Chodźta śpieszniej kumo — zachęcała.

Wzięła się w sobie i przyśpieszyła kroku. Nogi piekły ją, szła jednak znów uśmiechnięta, jakby sił jej przybyło.

Dziwowała się kuma. Nie wiedziała, że Martynowa dostrzegła jasny obłok, płynący przed nią, a w środku twarz Przenajświętszej.

Dziwowała się kuma, słysząc:

— Przyjdę do Ciebie Matuchno jeszcze i za rok — przyjdę pomodlić się znów w Królestwie Twojem...

— — — — — — — — — — — —

I szła powolutku dalej za innymi, stawiając obolałe nogi... nie skarżyła się... a stara już była...

KAZIMIERZ WOLAŃSKI.

Nasze zagadnienia kolonjalne

Zmagając się stale z coraz to nowszemi trudnościami, które się wciąż wyłaniają i zagrażają nietylko naszemu bytowi, ale także możności istnienia; pochłonięci całkowicie myślą o nieznanem jutrze, nie mamy nieraz wprost możliwości zastanowienia się nad sprawami ogólniejszemi — niemniej ważnemi od tych, jakie niemal codziennie absorbują nasz umysł. Jeżelibyśmy jednak zechcieli zastanowić się nad temi bardziej ogólnemi sprawami, to niezawodnie przekonalibyśmy się, że mają one ścisły związek z naszemi codziennemi troskami i, że — z chwilą, kiedy zostaną pomyślnie rozwiązane — wówczas ciężar naszych osobistych trosk znacznie zmaleje.

Ze spraw o ogólniejszem znaczeniu, bodaj jedną z najważniejszych w obecnej chwili, jest sprawa posiadania przez nas własnych kolonij zamorskich, któreby się mogły stać źródłem naszej ekspansji ludzkiej i towarowej oraz podstawą lepszego bytu.



Stefan Rogoziński — pierwszy polski kolonizator wyprawy kolonjalnej do Kamerunu. (13. XII. 1882 r.)

Nie są to bynajmniej czcze mrzonki, bo jeżeli zechcemy zbadać dokładnie historję państw dzisiaj najbogatszych, jak: Anglja, Francja, Belgja i in., to będziemy się mogli przekonać, że państwa te doszły w dość szybkim czasie do dobrobytu, dzięki posiadaniu własnych kolonij. Państwa te również nie odczuwają tak dotkliwie obecnego kryzysu, jak państwa inne. Wiemy bowiem, że państwa, nie posiadające kolonij, szczególniej zaś państwa gęsto zaludnione, jak my naprzykład, pomimo zaciętego uporu, nie są w stanie przezwyciężać coraz to nowych przeszkód.

Dlatego też w ostatnich czasach coraz czę-

ściej słyszy się głosy państw przeludnionych, domagające się kolonij, które są im potrzebne już nietylko do ekspansji towarowej, ale — i to w pierwszym rzędzie — ludzkiej.

Czas, w którym te zagadnienia będą musiały być rozstrzygnięte na forum międzynarodowem, nadejść musi i to niezadługo. Słuszne żądania państw przeludnionych zostaną uwzględnione. Lecz kiedy nadejdzie ta chwila, to pod uwagę będą brane żądania tych państw, które wykażą się wielką prężnością i energją, a przedewszystkiem zdecydowaną postawą, przejawiającą się w zorganizowanej jednomyślności danego narodu.



Adam Styka: Abisynka.

Ażeby nie pozostać wtyle za innemi narodami i, żeby w odpowiedniej chwili uzyskać to, co nam jest konieczne dla naszego bytu, musimy się już organizować i pilnie śledzić bieg spraw, które nas interesują.

Nie powinniśmy zapominać o tem, że rokrocznie przybywa nam pół miljona nowych obywąteli, którzy — gdy dorosną — będą się domagali pracy i chleba. A to jest sprawa bardzo ważna.

Jak wiemy, jedyną organizacją w Polsce, która ma w zadaniu rozwiązanie naszych zagadnień kolonjalnych, jest Liga Morska i Kolonjalna. Śpieszmy więc w jej szeregi, bo im liczniejsze one będą, tem łatwiej będzie przeprowadzić to zadanie.

A kiedy zamierzony przez nas cel zostanie osiągnięty, wtedy — prócz zadowolenia moralnego ze spełnienia należycie naszego, obywatelskiego obowiązku — będziemy mieli i to miłe przeświadczenie, że, jeżeli nam jest lepiej, niż było, to zawdzięczamy to samym sobie, gdyż przez należyte uświadomienie ciążących na nas obowiązków oraz przez rzetelne ich wypełnienie, przyczyniliśmy się do polepszenia bytu ogółu i własnego.

JANUSZ ŻEBROWSKI.

Samotność

Nieraz, gdy chmurą zakryje się czoło,
Gdy wicher jakieś przypędzi obłoki,
Gdy cicho, smutno stę robi wokoło,
Rozpacz jakaś chwyta i żal głęboki...,
Tak chce się troski odsunąć od siebie
I spojrzeć jaśniejszem okiem na życie.
Na nowej gdzieś ziemi, na nowem niebie
Trzeba zamieszkać i żyć, jak w niebycie...

O trosko dniowa, trosko samolubna!
Gdzie tysiąc innych, znędzniałych rozpaczy:
Gdzie gorycz nieszczęść dla ducha tak zgubna,
Której twe oko ludzkie nie zobaczy,
Której nie zbadasz bez uczuć i ducha?

Rozpacz i nędza jako proch wybucha,
Lub tli się tajemnie gdzieś w ludzkiej duszy,
Taka jest straszna—że serce i myśl kruszy.

W. DOMANIEWSKA.

O dwóch pisarkach słów kilka

W momencie, gdy w polskiej literaturze współczesnej chwilowo, a może na dłuższy czas wybiły się na plan pierwszy pióra kobiece, miarą i możliwościami rozwojowemi talentów, wydajności i ambicjami literackiemi, a wreszcie przygotowaniem intelektualnem górując nad męskimi reprezentami literatury, myśl zwraca się mimowoli, w poszukiwaniu analogij, ku dwóm wybitnym przedstawicielkom literatury francuskiej i angielskiej, — Colette i Catherine Mansfield, — które bardziej może od innych znane są na naszym gruncie, dzięki licznym przekładom ich dzieł. —

I już na udatności tych przekładów, abstrahując od ich wartości literackich, zaważyły specyficzne cechy omawianych dwóch talentów kobiecych. — Utwory Catherine Mansfield, pomimo dematerjalizacji, której poddaje ona formalną ich stronę, pimimo trudnej do oddania prostoty i oszczędności środków artystycznych i niesłychanej powściągliwości wyrazu, znajdują mniej więcej wierną transpozycję w przekładach, zresztą doskonałych. Kongenjalność ta nie jest dziełem przypadku, powinowactwa natur autorki i tłómaczek. Catherine Mansfield da się przetłómaczyć na język polski tak, jak na każdy inny. — Ta rdzenna anglo - saska, urodzona w Nowej Zelandji, kształcąca się w Londynie, by resztę krótkiego życia spędzić na wędrówce z pensjonatu do pensjonatu na francuskiej i włoskiej Rivierze, posiada przy wrodzonem, kosmopolitycznem nastawieniu, pewne pierwiastki duchowo - twórcze, które czynią ją bliską i łatwą do oddania na każdy język, a zwłaszcza może na języki słowiańskie. Należy wątpić, czy sowieccy tłumacze zainteresowali się twórczością pisarki, która pod wieloma względami jest typowym wykwitem kultury burżuazyjnej, ale można sobie wyobrazić, że precyzyjna, pełna delikatnych niedomówień proza Catherine Mansfield dałaby w dobrym rosyjskim przekładzie efekty, godne Czechowa.

Rzecz ma się inaczej z Colette. Kto nie czytał jej w oryginale, nie ma pojęcia o barwie, kształcie, zapachu jej książek. Dzieło tej świetnej pisarki, którego główną pięknością jest forma, oparte jest o gloryfikację zewnętrznych kształtów życia. — Wyraz gloryfikacja jest tu może zresztą niewłaściwie użyty. Zawiera bowiem pewien mistyczno - kapłański stosunek do świata, obcy organizacji psychicznej Colette, która życie smakuje jak owoc, wysubtelnionym dotykiem bada jego kształt, powonieniem prymitywnej, leśnej istoty różróżnia pełną gamę zapachów. — I w tem sharmonizowaniu zewnętrznej formy utworu z jego istotną treścią, polegającej na odtworzeniu najbardziej bezpośredniej, zewnętrznej, podpadającej pod zmysły formy życia, leży „nieprzetłómaczalność" Colette, jej łacińsko - prowansalski regjonalizm, jej organiczny związek z materjałem tworzywa i z instrumentem pracy, w danym wypadku z słowem francuskiem celnem, rzadkiem, zmysłowo jednoznacznem, niezastąpionem.

Catherine Mansfield ma swój specjalny, jej tylko właściwy, sposób jest taksamo bliska zewnętrznym przejawom rzeczywistości, ale w porównaniu z pełnokrwistym stosunkiem Colette do realjów życiowych, reakcje, wywoływane w psychice angielskiej pisarki przez bukiet kwiatów zdobiący jej smutny pensjonatowy pokój, przez zachód słońca nad morzem, samotnie obserwowany z okna balkonu, przez wiatr, pląsający po spadzistych ulicach nadmorskiego miasteczka, przez biały kształt drzewa owocowego w księżycową noc, są reakcjami niejako wtórnemi, zaś spowodowany przez nie proces twórczy, nie deformując elementów rzeczywistości, poddaje je jakgdyby krystalizacji, z której wychodzą odbarwione, ostro i misternie zarysowane, lśniące matowym, trochę nierealnym blaskiem. — Catherine Mansfield jest chora, dni jej są liczone, a twórczość pod znakiem szybko uchodzącego życia. — Nie ma ona czasu jak Colette, której życie jest spokojną wędrówką od etapu do etapu, by przedmiot każdy wolno i rozważnie brać do ręki, oglądać pod światło, ważyć w dłoni, by w słowach ciężkich i soczystych, drogą wybrednych przenośni, dać nam jego konkretny opis.— Angielska pisarska ogranicza się do króciutkich wzmianek o rzeczach: o róży wspomni, że jest biała, lecz powie to w takim momencie, w takim układzie słów, z tak delikatną magją, że białość ta stanie się kształtem i treścią róży, a zarazem przypomnieniem, zapachem rzeczy minionej, przedsmakiem wieczności, czemś nieuchwytnem, a chwytającem za serce.

I jeszcze jedno. — Catherine Mansfield w porównaniu z Colette jest bardzo młoda. Nie chodzi tu bynajmniej o wiek fizyczny tych dwóch kobiet, z których pierwsza umarła parę lat temu, zaledwo prze-

kroczywszy trzydziestkę, druga zaś ma już dzisiaj po pięćdziesiątce i cieszy się znakomitem zdrowiem. — Bo przecie Colette, jako młodziutkie stworzenie, w kolaboracji z mężem piszącą swą słynną trylogję o Claudine, była już dojrzałą, pozbawioną złudzeń i jakiegokolwiek optymizmu kobietą, kochającą życie tylko za to, w czem ono człowieka nie oszuka nigdy: za upał letniego dnia, za chłód wody, opływającej członki w kąpieli, za smak kasztanów, szorstkość samodziału, za doskonałość dwóch dobranych ciał złączonych w uścisku. — Jej stosunek do rzeczywistości jest stosunkiem starej mądrej kurtyzany Lei, bohaterki jednej z jej powieści, do zakochanego w niej na swój sposób Cheri: Lea widzi wady, podłostki, nicość tego młodego chłopca, nie żywi co do niego żadnych złudzeń, lecz bierze go takim, jakim jest, i jest mu wdzięczna za fizyczną urodę, młodość i za niesfałszowaną rozkosz, którą się wzajemnie darzą. — Tego rodzaju postawa życiowa, a raczej brak postawy, jest znakomitą pożywką dla talentu. Colette czuje zawsze pewny grunt pod nogami, a twórczość jej, pozbawiona niespodzianek i wolna od wewnętrznych załamań, swobodnie wznosząca się i opadająca, jak następujące po sobie pory roku, regeneruje się w ciągłym kontakcie z coraz to innym kształtem życia: czy to domem własnym na wsi, czy skwarem winnic na czerwonych prowansalskich wzgórzach, czy wodą skraplającą się na brzuchatej powierzchni gliniastych naczyń, czy magnetyczną obecnością psów i kotów, czy wreszcie, a przedewszystkiem w zetknięciu z miłością, od której Colette wymaga jednego: absolutnej szczerości ciał.

W przeciwstawieniu do starczego „désabusement“ Colette, która w jednej z ostatnich powieści pod tytułem „Duo“ zaczyna górować nad jej animalną radością życia, zaprawiając epikuryjskie opisy smakiem popiołu, mentalność Catherine Mansfield tchnie juwenilizmem, a podejmowane próby doskonalenia się wewnętrznego, rewidowanie swego stosunku do ludzi, trochę bezradne ale wzruszająco szczere filozofowanie, a wreszcie przystąpienie przed samą śmiercią do teozoficznej kolonji w Fontainebleau świadczą o ciągłem zmaganiu się, wątpieniu, „bogoiskatielstwie“ bardzo młodej duszy.

Wchodzą tu zresztą w grę momenty czysto fizjologiczne. Podobnie jak Czechow, któremu tak bardzo jest pokrewna kameralna sztuka, Catherine Mansfield, jej ściszony i niezawodny ton, Catherine Mansfield chorowała na gruźlicę płuc. Po krótkim, lecz dość burzliwym okresie życia, w czasie którego zdążyła jako młoda dziewczyna wbrew woli rodziny opuścić Nową Zelandję dla Anglji, wyjść dwukrotnie zamąż, nawiązać dużo cennych kontaktów w świecie artystycznym i literackim i paroma tomikami opowiadań zwrócić uwagę krytyki, młoda kobieta zmuszona była rozpocząć wędrówkę po zdrowie. I już aż do śmierci pozostaje na marginesie życia, ogląda je z pozycji niejako horyzontalnej, z łóżka, leżaka, z poduszek powozu. Ma świadomość swej choroby i nieuniknionego końca. Poczucie rwącej się nici życia, cierpienia fizyczne, bo do gruźlicy przyplątały się bóle reumatyczne i choroba serca, martwe w swej konwencjonalności piękno Riviery, na tle którego upływają jej ostatnie lata, nadają podziemny metaficzny nurt jej wrodzonemu choć delikatnemu poczuciu rzeczywistości. — „Listy“ Catherine Mansfield i niektóre strony „Dziennika“ jednego z najszczerszych, a jednocześnie najmniej exhibicjonistycznych jakie istnieją w literaturze, rozpoczynają się zwykle opisem najbłahszego zdarzenia. Chodzi o rozmowę z pokojówką, popołudniowy spacer, przeczytaną książkę, nową twarz przy table - d'hôte. Przy wrodzonym, a zaostrzonym przez chorobę „szóstym zmyśle“ Catherine Mansfield, zdarzenia te nabierają wagi, stają się osią, dookoła której krąży myśl autorki coraz szerzej i niespokojniej, mącąc zresztą czasami subtelną, na paru kreskach obserwacji opartą, powieść.

Na zakończenie należy wspomnieć o pewnej postawie duchowej, która, poza bezwzględną szczerością artystyczną, stanowi wspólną cechę tych dwóch, tak odmiennych organizmów pisarskich. Jest to zupełna obojętność na tło i zagadnienia społeczne, na sprawy nurtujące dziś ludzkość, na kwestję odpowiedzialności i kompromisu socjalnego. — Zarówno nabrzmiałe witalizmem powieści Colette, jak i zdematerjalizowane opowiadania Catherine Mansfield, mogłyby się dziać poza czasem i przestrzenią. I w tem arystokratycznem oderwaniu się od spraw życia zbiorowego leży ich zasadnicza różnica z typem współczesnej pisarki polskiej, tkwiącej głęboko korzeniami w społecznej rzeczywistości i nawracającej do niej stale w swych dziełach, nieraz zresztą z uszczerbkiem dla pełni artystycznych osiągnięć.

JANUSZ ŻEBROWSKI.

Poezja nowa

Słusznie ktoś powiedział, że epokę budują i kształtują ludzie.

Ludzie stworzyli piękno, zagarnęli w swe posiadanie pewien przeciąg czasu, okres dla duszy ludzkiej znamienny, utrwalony w mózgu, wżarty w czucie i uczucie. Myśl twórców owych zaciążyła, jak fatum, nad jestestwem tysięcy ludzi, nadała kierunek ich myślom i przez nich tworzyła.

Mickiewicz, Słowacki, Krasiński wzięli w swe posiadanie rząd dusz. Czas ich władzy bezpośredniej minął, jedynie echo „tamtych“ czasów karmiło i żywiło uczucia ludzkie — pięknem.

Druga epoka poczęła przetwarzać piękno i cudowność poprzedniczki. Pojawili się nowi ludzie, nowe wytknęli drogi człowiekowi, budowali inny gmach duszy. Na szczycie budowli umieścili — filozofję. Człowiek stał się mózgowcem. Pozytywizm ujarzmił indywidualność, nakazał im nie czuć, lecz myśleć. Powoli, stopniowo, przez ewolucję jednostek, dokonywała się przemiana społeczeństwa.

Czy miała być lepsza, — trudno dociec.

Tem trudniej, że obecnie też dokonuje się.

żyjemy w nowej epoce.

Co stworzą dzisiejsi ludzie?

Retrospekcja wskazuje na takie jednostki, jak: Kasprowicz, Konopnicka, a doba obecna: Tuwim, Zegadłowicz, Iłłakowiczówna, Lechoń. Jaka różnica! Jaki brak porównania, a jednak postacie te należą do jednej epoki. Dlaczego?

Jak wyżej powiedziałem epokę kształtują ludzie.

Dokoła nich grupuje się życie duchowe, polityczne. Gdy przeminą — mija ich urok, ich władza. W naszem życiu mało takich ludzi, a którzy są — zanadto czasowi. „Tamci“ żyli w innych warunkach. Obecne życie wymaga od człowieka zbyt wielu ofiar, pracy i wysiłku. To wszystko jednak wobec tempa życia jest krótkotrwałe. Ludzie spalają się prędko, zostają wtyle, niedołężnie drepcąc po dawnych szlakach lub w miejscu. Zjawiają się inni, burzą poprzedni dorobek, kreślą nowe wzory, by w nich pozostać. O nie! Codzień, co godzina trzeba tworzyć, tworzyć aż do wyczerpania myśli, aż do zatraty. Lepiej zniknąć, niż być uczepionym wyłącznie do szlaku minionych dni.

Powstała nowa poezja — przyszłości. Stworzono futuryzm, expresjonizm, formizm. Wczoraj była nowość; dzisiaj — należy do przeżytków. I co dalej?

Brakło motywów, wzorów, nazw... brakło nowych ludzi. Ci, co już stworzyli, dzisiaj odpoczywają. Powstały dziwne wiersze, pokraczne: DUCH CZASU! — Taka jest dusza ludzka? Takie jest życie człowieka, jak odzwierciadlająca je poezja?

Nie! Wypaczyć duszę człowieka — łatwo, lecz wykształcić — trudno.

Według mitologji — z chaosu powstał świat. Daj Bóg, aby z dzisiejszego pomięszania poczuć estetycznych przez Kwadrygi, Czartaki, Drugie Tory, nawet osłodzone ciastkami z cukierni Gospodarka, powstał tytan ducha, heros poezji polskiej, by zburzył wszystko i zażądał, jak Wielki Adam: „rządu dusz“.

Szuka się, próbuje! Pewnie, że genjusze nie rodzą się, jak grzyby po deszczu, ale dobrze, że krytyka „kropi“ gdzie może i kogo może.

To czasem dobrze robi.

Stworzyć coś, nie znaczy przetworzyć. Niestety, przetwórców jest więcej, niż twórców.

Nowa poezja wybujała na gruncie życia codziennego, szarego, przeraźliwie jednostajnego, jak stuk kół pociągu, długie ulice wielkomiejskie, chodniki, zbiegające się gdzieś — w jednym punkcie. Jaki człowiek — taka poezja. Czasem ktoś potrąci strunę bardziej rzewną, czasem z twardych, dziwnych wierszy nowej poezji tryśnie humor lub beztroski śmiech...

Tak go mało!

Poezję rzucono na bruk, na ulicę. Niebaczna noga przechodnia trąca rozwiane wiatrem, zbrudzone błotem kartki. Kto się po nie schyli, kto przeczyta choć jeden wiersz? Ten i ów podniesie i rzeknie: „Hm, papier, przyda się!“, drugi: „Poezja“ i odtrąci. Nic dziwnego! Człowiek, który sam czegoś nie stworzył, który nie mógł poznać wartości poezji, człowiek wreszcie, którego określić można mianem „snob“, podeptał to, co było drogie dla innego, może więcej nawet: co było bardzo drogie, ponieważ chciało nauczyć innych, ot, tego właśnie snoba!

Czego zatem żąda społeczeństwo?

— Sensacji.

Ordynarnej, brudnej sensacji. Za nią goni, rozchwytuje brukowe pisma, kroniki kryminalne. Domaga się, a przynajmniej daje poznać, że chce mieć taką poezję. I słusznie. Taką poezję powinno mieć na próbę. Niech się zachłyśnie jej „pięknem“, a wtedy ocknie się.

Czy zadanie poezji winno być inne, niż pierwej?

Słyszałem na ten temat wypowiedziane zdanie, że wiersze są albo suche, albo wprost ordynarne;

nic w nich ciekawego nie można doczytać się, brak im rozpędu, zżycia się rzeczywistości z duchem...

Jest w tem powiedzeniu trochę prawdy, ale prawda ta niej jest zupełna. Mojem zdaniem poezji brak dynamiki czynu. Stwierdzenie tego, co jest, to mało. Trzeba pchnąć do czynu ludzi, trzeba nauczyć ich czynu.

Jeśli poezja romantyczna przygotowała powstanie styczniowe, to dzisiejsza poezja powinna zaprawić duszę człowieka do czynu heroicznego i pozytywnego, do zwycięstwa nad marazmem!

LUDOMIR KUCHARSKI.

Trzy etapy formy

I:

Wrócę

Rok 1927.

Choć wiem —
że może dziś, że może jutro
z tęsknotą pójdę w świat,
zaśpiewam, coś zanucę,
lecz wrócę
znów za kilka lat.

I spojrzę w krąg:
na śpiące anemony,
na posąg hen...
zarosły mchem zielonym
i z drżeniem rąk,
jak dawniej, rozkliwiony
przypomnę sercu... sen —

II:

Rewja wojsk

Rok 1932.

Brzęk ostróg wepchnięty w dróg pył.
Błysk wstęgi marszu w błoniach.
Tętent krwi.
Znów pochłonął, znów porwał,
stopami rytm wybił w pochodzie potęgi i chwały serc,
blizny
sojuszem oczów zagoił.

Hen, z gór
przybyli, spod gwiazd. Przybyli z dolin na zew głosu tęczy,
od betonu i fal,
z dusz dwoma kolorami,
z wiarą.

Chłonęli chciwie szczęk
niezapomnianej odwagi krzepkich dłoni:
gdy w śpiewie fanfar ruszyły szeregi ławą,
wśród braw, wśród prężnych uczuć wykrzesanych z głębi lat.
Przewalili w biegu —

Na długo ja z nimi będę dziś i jutro wierzył...

Człowiek z „góry"

Rok 1936.

Zręby kół
szczepiły się bez sumienia
w aparaturze giełdy.
Hallo... góra...
Londyn — New York — Berlin, — Haga
Hallo... dół...
Paryż — Budapeszt — Praga
Nadszedł trans...
reszta zginęła w zgiełku.
Las cyfr obłędnie wyszczerzył
zsumowaną linję podkreśleń.
Silence!
Cenę się przelicza,
coś się zmienia
Tytan tak każe.
Uwaga.
Maklerzy mają drewniane twarze.

Usiadł na krześle
i czas akcjami mierzył.

Słońce dla odmiany
zawiesiło mętny krąg
i próbowało grać kolorami —
Końce
wskazówek zegara
goniły się zawzięcie dalej
po mlecznej tarczy.

Kobieta stara
wyszła w podartej kiecce
przed domu próg.
Z duszy głębi
wydobył szept tkliwy,
że się przeziębi
i był szczęśliwy
szczęściem,
nabrzmiałem złotem w limuzynie.
Z załzawionych chmur
spłynęła słota.
— Hej, dać przecież mógł,
gdy wyciągnęła rękę.
Mógł dać, czy nie???
Ale co tam! —
Biednym —
rozrzutni dają zawsze grosze,
żeby podkreślić mękę. —
Nie nosił drobnych.

Wieczór na obłoku
powiesił rogalik.
W kołyszącym chodzie
zamrugało
srebrnego szyldu oblicze.
W klubie,
żyrandol światłem się zarumienił.

Człowiek z góry
przypomniał z patosen
trzeba się litować,
panowie, nad tłumem bosym,
jeśli nędza wlecze
poorany grzbiet na biedce.
— Hallo, co tam było?
Zaraz przeliczę:
trzy piki i kier:
— nic podobnego!
mnie się tak zdarzyło.
Płacę?
— Kawa... ciastka... likier...
poprawił włosy i schował grzebień!

— — — — — — — — — — — —

Miał serce w portmonetce
portmonetkę w kieszeni
dla siebie.

Póty będą wojny, póki będą młodzi.
Francois Mauriac.

ŚWIATOSŁAW SZRAMCZENKO
Kapitan marynarki w st. sp.

Gdynia -- Port Polski

Każde państwo, które chce być wolne, zupełnie niezależne i bogate, musi posiadać własne wybrzeże morskie i panować na własnem morzu. Żeby panować, trzeba mieć własną flotę wojenną i handlową oraz własne porty.

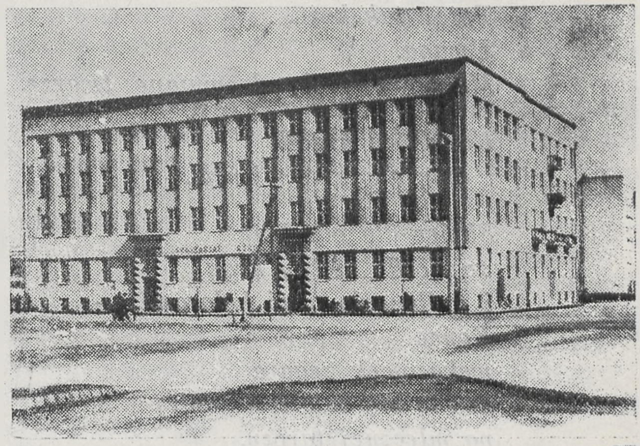
Dzięki propagandzie i owocnej działalności Ligi Morskiej i Kolonjalnej, zasadnicze postulaty te już przenikają naród nasz, który zaczyna dobrze zdawać sobie sprawę z zagadnienia własnego morza, znaczenia własnego wybrzeża, własnej floty i własnych portów.

Po dziesięcioletnim przeszło wysiłku w tym kierunku, Polska może się pochwalić przed całym światem — swoją chlubą — własnym i własnej budowy portem Gdynią.

Tam, gdzie w r. 1920 znajdowała się mała, rybacka wioska Gdynia, obecnie stoi duże, nowoczesne miasto europejskie z wielkim portem, doskonale urządzonym, według ostatnich wymagań techniki.



Dawniej: Wójtostwo, czyli urząd gminny.



Dziś: Komisarjat Rządu.

Na początku XIII stulecia, Gdynia, jako wioska rybacka należała do włości księcia pomorskiego Świętopełka, który w r. 1224 darował ją opactwu cysterskiemu w Oliwie. W r. 1380 Gdynia przeszła mocą darowizny na klasztor w Kartuzach. Już wtenczas do Gdyni docierały statki z towarami z Gdańska, które następnie, wraz z rybami złowionemi, szły do klasztoru Kartuzów lub przez karawany kupieckie odwożone były wgłąb Polski.

— — — — — — — — — —

Pomimo zajęcia Pomorza w czasie drugiego rozbioru Polski w r. 1793 przez Prusaków, ludność Pomorza, jak i Gdyni: Kaszubi — nie ulegli germanizacji i doczekali się czasów wyzwolenia z długiej niewoli niemieckiej.

Budowę portu w Gdyni rozpoczęto w r. 1923, ale z całą energją zaczęto pracować od r. 1926 (Minister Kwiatkowski), dając Europie niespotykany przykład powstania w ciągu niewielu lat portu i miasta najmłodszego ,a zarazem jednego z najbardziej interesujących miast powojennej Europy, tembardziej, że pod względem korzystnego położenia geograficznego Gdyni, łatwego dojazdu i zastosowania wszelkich najnowocześniejszych urządzeń portowych, mało jest portów podobnych na świecie.

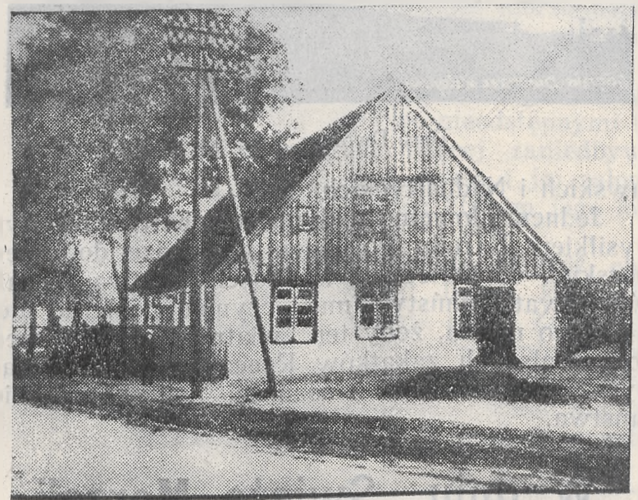
Port gdyński obejmuje 950 ha, z czego powierzchni lądowej 630 ha, a wodnej 320 ha. Długość nadbrzeży wykończonych i eksploatowanych wynosi 8.600 metów na ogólną długość nadbrzeży 9.200 metrów. Głębokość przy nadbrzeżach wy-

nosi od 6 — 12 metrów, co jest wystarczające dla największych statków, które mogą wejść na Bałtyk.

Długość falochronów wynosi 2.500 metrów. Większych składów portowych jest w Gdyni 25 o łącznej powierzchni 165.677 m^2. Długość sieci kolejowej w porcie sięga 130 klm., a długość dróg kołowych wynosi około 12,5 klm.

Port jest wyposażony w urządzenia przeładunkowe: 39 dźwigów portowych, 14 dźwigów półportowych, 3 dźwigi mostowe, 1 wywrotnica węglowa 32 tonowa i t. d.

Port posiada dźwig pływający 50-tonowy, 7-tonowy dźwig węglowy oraz dok pływający o nośności 3.500 ton i najbardziej nowoczesny aparat pod względem sygnalizacji świetlnej, syren, dzwonów mgłowych i sygnałów podwodnych. W samym porcie powstał szereg prywatnych przedsiębiorstw



Dawniej: Szkoła i poczta.

i zakładów przemysłowych, jak Łuszczarnia Ryżu o powierzchni 9.400 m^2 i zdolności przemiałowej 150.000 ton, Olejarnia, Stocznia gdyńska i Warsztaty reparacyjne okrętowe, Chłodnia, będąca po chłodni hamburskiej drugą co do wielkości chłodnią portową w Europie, o powierzchni 15.695 m^2 (Chłodnia może mieścić 1.200 wagonów towarów łatwo psujących się, jak: jaja ,masło, drób itd. i służy dla eksportu), hala rybna, zakłady przetwórcze przemysłu rybnego, zakłady przetwórcze owoców południowych, suszonych itd.

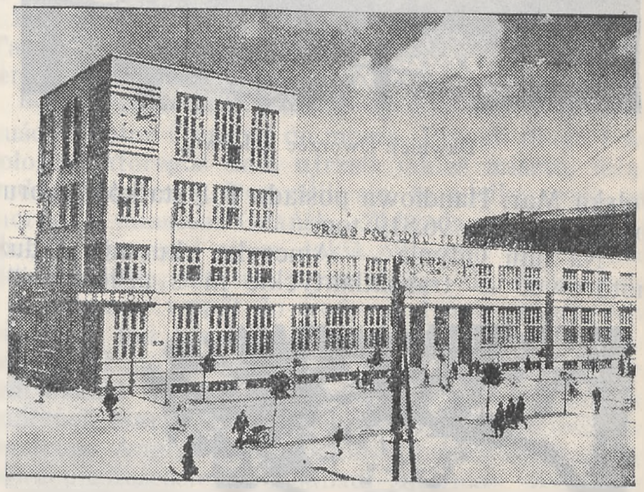
Rozwój miasta Gdyni charakteryzuje przyrost ludności.

Gdynia, jako gmina wiejska, w roku 1913 posiadała — 301 mieszkańców, w roku 1921 — 3164, obecnie, jako miasto liczy około 40 tysięcy mieszkańców.

Tam, gdzie niedawno były torfowiska, łąki lub kępy piasków, powstały w ciągu 8 lat ulice, place, skwery. Chaty rybackie wyparte zostały przez potężne budowle rosnącego miasta.

Gdynia obecnie posiada 50 budynków urzędowych, 22 komunalnych, 2175 domów mieszkalnych. Oprócz zwykłych, jak w każdem mieście, budynków, posiada Gdynia nowocześnie urządzoną Państwową Szkołę Morską, która kształci oficerów marynarki handlowej, Instytut Handlu Morskiego. Pocztę, o szczególnie wysokim poziomie technicznym, ładny gmach Urzędu Morskiego, Dworzec Morski i t. d.

Port wojenny w Gdyni, jako główna baza Ma-



Dziś: Poczta i Telegraf.

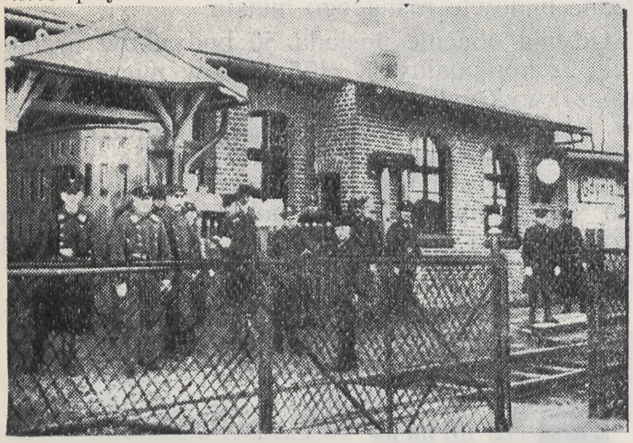
rynarki Wojennej, zajmuje północny basen oraz skrawek wybrzeża, położonego u stóp wzniesienia oksywskiego, gdzie pobudowane zostały gmachy dla władz Marynarki Wojennej oraz koszary dla marynarzy.

Gdynia posiada regularne połączenia statkowe ze wszystkiemi niemal ważniejszemi portami Europy, Bliskiego Wschodu, Afryki Północnej, Ameryki Północnej i Południowej oraz Zatoki Meksykańskiej.

Podstawowemi artykułami przywozowemi portu gdyńskiego są: złom żelazny, rudy, fosforyty, ryż surowy, tytoń, bawełna, owoce południowe i surowce oleiste; w wywozie: węgiel, cynk i blacha

cynkowa, sole potasowe, nawozy azotowe, drzewo i wyroby drzewne, cukier, ziemniaki, bekony, wędliny, masło i jaja.

Postęp szybkiego rozwoju Polskiej Marynarki Handlowej ze statystyki rzuca się wprost w oczy: kiedy w r. 1922 Polska posiadała zaledwie 3 statki brutto pojemności 5.371 ton, na dzień 1. VI. 1936.



Dawniej: Dworzec kolejowy.

Polska Mar. Handlowa posiada 101 statków z brutto pojemnością 96.819 ton.

Na linji Gdynia — Ameryka kursują 2 duże motorowce — transatlantyckie m s „Piłsudski" i



Widok z Kamiennej Góry na miasto.

m s „Batory". Linję Gdynia — Południowa Ameryka obsługuje się statkami s/s „Pułaski" i s/s „Wisła" itd.

Z rozwojem Gdyni powiększył się również polski handel morski. Gdy w r. 1922 stanowił jedynie 7,3 proc. polskiego ogólnego handlu zagranicznego, w r. 1934 osiągnął 72,2 proc.

Trzeba również podkreślić, że port w Gdyni stał się punktem oparcia w tranzycie handlu zamorskiego Czechosłowacji, Rumunji, Węgier, Jugosławji i Austrji. Ponadto odgrywa port gdyński bardzo poważną rolę w tranzycie krajów Skandy-



Dziś: Dworzec kolejowy

nawskich i Nadbałtyckich.

Jednem słowem: Gdynia jest bardzo pięknym wysiłkiem Narodu Polskiego w drodze do potęgi morskiej, odpowiedniej wielkości państwa. I każdy obywatel państwa musi czynnie popierać idee własnego morza, żeby ten „wiatr od morza" szedł do najdalszych zakątków Rzeczypospolitej, dając wyraz zrozumieniu i słuszności polityki morskiej państwa.

W dniu „Święta Morza"
w Częstochowie.

W dniu „Swięta Morza" w Częstochowie. przyznane będą dwie nagrody uczniom szkół średnich klas szóstych i siódmych — za najlepszy czas uzyskany na regatach na dystansie 800 mtr. kajakami.

Zawody odbędą się dn. 27 czerwca na przystani L. M. K.

Nagrody ufundował honorowy konsul belgijski pan Jean Naze. Wysokość I — 35 zł., wysokość II — 25 zł.

Uczniowie - zwycięzcy zobowiązani są do złożenia sprawozdania Dyrekcjom Szkół ze sposobu zużytkowania nagród.

NASI NAJMŁODSI

Dużo mówi się o wpływie wychowawczym szkoły. Zabierają głos w tej sprawie różni ludzie: fachowcy i laicy. Jednym z dowodów takiego zainteresowania się można posłużyć się: jest to artykuł Ilustr. Kurjera Codziennego Nr. 165 z dnia 15 czerwca 1936 r. Nie wdając się w żadną dyskusję ani polemikę na temat tego artykułu, notujemy fakt bardzo miły nadesłania redakcji naszej zwykłego zadania domowego z zakresu jęz. polskiego, opracowanego zespołowo przez uczniów kl. V Szkoły Powszechnej, prywatnej p. Stanisławy Ligęzówny w Częstochowie. Świadczy on wyraźnie, po jakiej linji idą wysiłki nauczycielki, jakie założenia wychowawczo-państwowe realizuje szkoła. Zbyteczną jest rzeczą nadmieniać docenienie należyte morza, ujęte w formę „powszechniakowej" robinzonady, odpowiadającej dawnej, pierwszej i drugiej klasie gimnazjalnej.

Oto bajka zespołowa:

Przygody blaszanych marynarzy

Janek mieszkał w niewielkiej willi pod Warszawą. Był to chłopiec dobry i pilny i ogromnie kochał morze. Obiecała mu mamusia, że mu kupi łódź motorową, aby mógł samodzielnie na morze popłynąć. Janek rozczarował się trochę, gdy obiecana łódź okazała się zwykłą chłopięcą zabawką z dwoma blaszanymi marynarzami. Ale ucieszył się i z tego. Blaszani marynarze stali się jego nieodstępnymi towarzyszami. Z dnia na dzień więcej zaniedbywał lekcje, bo interesował się tylko łodzią i jej załogą. Dnie całe spędzał nad stawem, po którym jego łódź pięknie pływała.

Pewnego razu Janek zdziwił się, że łódź, choć nieuszkodzona, nie chce pływać! Długo koło niej majstrował, lecz nic poradzić nie mógł. Zniechęcony, rzucił ze złością łódź w kąt szafki i mimo próśb kolegów, nie chciał jej już wziąć do ręki. Zabrał się nanowo do nauki, lecz nie wszystko chciało mu pomieścić się w głowie, zaprzątniętej myślą o upartej załodze łodzi.

Zbliżała się noc świętojańska. Dwaj marynarze poczęli mówić. Mieli wielki żal do Janka, że ich wraz z łodzią porzucił w kącie. Postanowili wybrać się w podróż. Wziąwszy łódź na barki, szli lasem w stronę Wisły. Gdy uszli spory kawałek drogi, zauważyli kwiat paproci. Podeszli, by go zerwać, gdy wtem rozległ się głos: „Wzięliście mnie, to wasze szczęście, ale pamiętajcie o tem, że kto mnie ma, ten wszystko może, co chce, tylko z nikim i nigdy swojem szczęściem dzielić się nie może". Marynarze bardzo się ucieszyli i postanowili zrobić wszystko, aby przebłagać gniew Janka. Jeden z nich zaproponował, aby pojechali do Anglji, zwiedzili kraj i po powrocie opowiedzieli chłopcu wszystko o tem państwie, z którem Janek wiele miał kłopotu na lekcjach geografji. Mieli zabrać ze sobą zeszyt do opisywania Anglji, wzięli także drugi zeszyt na marki angielskie, które Jankowi sprawiały przyjemność. Byle tylko dotrzeć do Wisły. Wisłą popłyną do morza Bałtyckiego, a stąd przez cieśniny Skagerak i Kattegat do morza Niemieckiego i do portu Hull. Takie były plany marynarzy. Bardzo byli zadowoleni, że jadą samodzielnie w daleką podróż.

Trzeciego dnia podróży ujrzeli fale Wisły. Zapuścili motor i ruszyli do morza. Płynęli długo i wesoło, aż któregoś dnia ujrzeli jakieś miasto, leżące nad wielką wodą. Domyślili się, że wielką wodą jest morze, a miastem Gdańsk. Zbliżając się do portu, zostali potrąceni przez jakiś olbrzymi okręt. Łódź się zachwiała, ale nie przewróciła się, tylko jeden z marynarzy wpadł do wody, a drugi, zobaczywszy to, rzucił mu korek od butelki, na który marynarz wgramolił się i dopłynął do łodzi. Olbrzymim okrętem okazał się kuter rybacki. Zwiedziwszy Gdańsk, popłynęli marynarze na pełne morze i skierowali się w stronę Anglji. Lecz po kilku dniach spotkało ich nowe nieszczęście. Oto napadł ich rekin. Zobaczywszy takiego olbrzyma, zaczęli uciekać na swej łodzi, ale po chwili zauważyli, że rekin ich dogania. Ponieważ ucieczka była niemożliwa, stanęli do walki. Ufni w pomoc kwiatu paproci, nabili ołowianą armatkę, wycelowali i strzelili. Rekin zanurzył się i po chwili wypłynął martwy.

W czasie dalszej podróży głód zaczął im dokuczać, więc zarzucili wędkę i upolowali bardzo dużą rybę, która zaledwie zmieściła się na łódź. Była to szprotka. Ledwo zabrali się do spożycia jej, nadeszły ciężkie, czarne chmury i błyskawica rozerwała niebo. Huknął grzmot, fale zahuczały i zaczęły jedna za drugą zalewać motorówkę, która wywróciła się dnem do góry i obaj marynarze razem z łodzią znaleźli się na dnie morza, w królestwie syren. — Syreny, ujrzawszy dwóch chłopców, przeraziły się bardzo i odprowadziły ich do swej królowej, która

kazała sługom przygotować komnatę w swoim pałacu. Pałac był zbudowany cały ze szkła i pięknie mieniących się kryształów. Choć było tam pięknie i bogato, chłopcy nie czuli się szczęśliwi, a najbardziej gnębiła ich myśl, co zamierza z niemi zrobić królowa. Po pewnym czasie zostali wezwani do królowej, opowiedzieli jej plan swej wycieczki i w jaki sposób dostali się na dno morza.

Królowa z uwagą wysłuchała i postanowiła dopomóc im w naprawie motorówki, oraz w wydostaniu się na powierzchnię morza. Dała im na drogę dużo cennych kryształów i korali, wezwała najcelniejszych swych paziów, którzy pomogli im wydostać się na wierzch. Uszczęśliwieni marynarze ujrzeli po kilku dniach podróży zarysy miasta. W miarę przybliżania się ujrzeli port.

Zbliżywszy się do brzegu chcieli przybić, lecz zatrzymali się na widok człowieka, który coś krzyczał w niezrozumiałym języku i wymachiwał rękami. Zrozumieli tyle z tego, że człowiek jest Anglikiem i że znajdują się w porcie angielskim. Nie zważając na Anglika, przybili do brzegu. Wtem ukazali się policjanci i złapawszy ich bez ceremonji za kołnierze, odprowadzili do więzienia. W więzieniu nasi marynarze dowiedzieli się, że do tego brzegu nie wolno było przybijać. Przed komisarzem marynarze wytłumaczyli się, że nie rozumiejąc języka angielskiego, przekroczyli przepis. Komisarz wypuścił ich na wolność.

Marynarze, zwiedziwszy miasto, udali się do łodzi i wypłynęli na morze. Popłynęli koło brzegów Anglji. Po kilku dniach ukazało się ujście rzeki. Była to Tamiza. Marynarze bez wahania wpłynęli w koryto rzeki. Tego dnia jeszcze ukazał im się Londyn, osnuty mgłą. Postanowili zwiedzić miasto i jego słynne marynarskie bary. Po chwili znaleźli się w barze. Jednemu z marynarzy angielskich nie podobały się twarze naszych zuchów i nie namyślając się długo uderzył jednego z nich tak, iż ten wyleciał z baru na ulicę jak z procy. Za nim, tą samą drogą podążył jego towarzysz. Wypadając z baru, wpadli pod nogi admirała floty angielskiej, który, schyliwszy się nad nimi, zaśmiał się grubym głosem. Przerażeni chłopcy wzięli nogi za pas, popędzili do swej łodzi i wsiadłszy do niej, skierowali się ku brzegom Polski z myślą opowiedzenia Jankowi wszystkiego, co przeżyli. — Po wielu jeszcze przygodach łódź naszych zuchów wpłynęła do portu Gdyni. Janek był tam na letnisku, gdzie opalał się nad morzem, jasnem od promieni słońca. Łódź płynęła wolno, coraz wolniej, wreszcie, gdy morze przypływało, łódź w szalonym pędzie wpadła i utknęła na piasku. Janek, przechodząc koło brzegu, zauważył zapomnianą łódź. Uradowani marynarze mówili mu coś o Anglji, o Londynie, lecz on ich nie rozumiał, tylko śmiał się do swojej łodzi, do marynarzy i całemi dniami nad brzegiem morza bawił się łodzią.

Nie zapomina o niej i teraz. Każde wakacje spędza nad morzem razem ze swoimi kochanymi marynarzami. Gdybyśmy mogli pojechać do Gdyni, spotkalibyśmy z pewnością Janka i jego przyjaciół-żeglarzy, którzy, zgubiwszy w czasie przygód kwiat paproci, na samodzielne wyprawy już się nie wybierają.

JÓZEF MIKOŁAJTIS.

Drukując tę milutką bajeczkę chcemy zaznaczyć, że chętnie udzielimy miejsca każdej szkole, która będzie odczuwała potrzebę wypowiedzenia się na tematy, związane ze wszystkiemi dziedzinami jej życia wewnętrznego.

Pani Stefanji Jędrzejczykównie i uczniom: Bogusiowi Bajdeckiemu, Helutce Bednarkównie, Cesi Chorzelskiej, Eli Gołębiance, Jurkowi Grzewińskiemu, Marysi Kindermanównie, Kazikowi Maniowskiemu, Bogusiowi Wedemskiemu, Januszkowi Błachowiczowi — dziękujemy za pamięć i oczekujemy nowej pracy. A może wierszowanej?

Ilustracji nie mogliśmy podać, ponieważ nie można było na czas przygotować kliszy z waszego rysunku.

Redakcja „Czasopisma Literackiego".

Wychowanie młodego pokolenia

— to rzecz wielka i odpowiedzialna. nasze państwo młode spełnia tę rolę sumiennie. oto przykład: audycja radjowa dla szkół powszechnych w dniu 3 czerwca 1936 r. krótka, bo zaledwie dziesięciominutowa, a jak ważna. pogadanka o komunikacji lotniczej, wypowiedziana tak barwnie i tak obrazowo, że dziecko musi chłonąć ciekawie słowo każde i przetwarzać je na sposób swój, aby ucieleśnić się w czynie przyszłym. potęgę i moc słowa pogadanki można porównać śmiało do potęgi i mocy naszych skrzydeł stalowych, zahartowanych, choć nazbyt młodych.

po pogadance — utwór muzyczny, króciutki, p. t. „Podróż powietrzna". — był doskonale oddany świst wichru, warkot motoru, dźwięk drążków sterowych, siła woli lotnika i tęsknota za lotem pod-

niebnym, gdzie Bóg niepodzielnie króluje...
i na tem kończy się audycja. — słusznie!
słowo żywe: ale jasne, mocne i porywające —
muzyka: tęsknotę budząca, czarująca i krzepiąca —

zespolenie rozsądne tych dwu czynników i zastosowanie ich w poczynaniach wychowawczych pokolenia młodego — musi dać w przyszłości takie pokolenie, które będzie świadome celów swych i odpowiedzialności za dążenie do osiągnięcia ich.

* * *

w stopniu równym oddziałują na wychowanie młodzieży — wycieczki.

dziś są już one ujęte organizacyjnie w ramy programu nauczania, co jest sprawą nader korzystną. żeby doprowadzić do takiego stanu rzeczy, trzeba było kilku lat pracy wytężonej Ministerstwa Oświaty. dziś na tę kwestję można spojrzeć objektywnie i przekonać się, jakiem dobrodziejstwem pozytywnem staną się wycieczki scalone, a więc łączące szereg zagadnień, omawianych w przedmiotach poszczególnych.

jako przykład niech posłuży wycieczka do cegielni.

rozplanowanie jej wcześniejsze na posiedzeniu Rady Pedagogicznej pozwoli zająć się nią historykowi, przyrodnikowi i geografowi, matematykowi i poloniście.

historyk będzie miał wdzięczne pole do wspomnień o czasach zamierzchłych, kiedy podstawą obronną jakiejś części kraju były twierdze warowne, — o technice budowlanej przeszłości, — o przejściu do dzisiejszych budowli żelbetonowych i... trocinowych.

przyrodnik i geograf zwróci uwagę na mineralogję i geologję.

matematyka zainteresuje wytwórczość mechaniczna cegły, przeprowadzając obliczenia odpowiednie, — a —

polonista upiększy to wszystko formą piękną — na podstawie utworów literackich, jak wyjątki ze Starej Baśni, czy z ballad Zegadłowicza, które, o! bądźmy spokojni!, nie potrącą o **Zmory,** ani nie przypomną Kaden-Bandrowskiego **Leonory** z cyklu **Czarne Skrzydła.**

dadzą, krótko — zwięźle, syntezę estetyczną, utrwalając przyszły czyn pozytywny, ucieleśniony w formie pięknej, łagodzącej trudy i znoje robotnika polskiego.

oto przykład wychowania młodzieży dzisiejszej przez wycieczki.

*

a teraz jeszcze jeden: o s i e d l a.

tę podbudowę, jaką dziecko wynosi ze szkoły powszechnej, należy zamienić na budowę gimnazjalną, zanim otrzyma wykończenie licealne i nadbudowę uniwersytecką.

ani społeczeństwo, ani niecały świat pedagogiczny nie docenia wartości wychowawczych osiedli szkolnych.

w czem przejawiają się te wartości?

ognisko rodzinne zawsze było podstawowym składnikiem życia narodu i na długie lata będzie niem. można na ten temat prowadzić wiele dyskusyj socjalnych i dojść nawet do rozbieżności zdan, ale to nie zmieni w tej chwili sprawy istotnej.

rodzina jest.

ale rodzina każda ma swoją tradycję, dawniejszą lub młodszą, — ma swoje poglądy, które każą patrzeć jej subjektywnie na wielość przejawów życia, co w różnych wypadkach wywołuje ciężkie konflikty i komplikacje psychicznie młodych, opuszczających szkołę.

wiedza, zdobyta w szkole, zapobiegnie temu, jeżeli ułatwi zdobycie **postawy wobec życia!**

zdobywanie postawy wobec życia powinno dokonywać się w sposób, zorganizowany ściśle przez pedagogów — i rozwinięty praktycznie w osiedlach szkolnych, tworzonych w ośrodkach, liczniejszych młodzieżowo. — należy dopomóc rodzinie.

osiedle na wsi spełni tę rolę najlepiej, bo zespoli jednocześnie młodzież z tą wsią, pozwoli poznać jej ubóstwo intelektualne i materjalne, zaprawiając do czynu realnego w państwie rolniczem, a częściowo — przemysłowem.

pobyt każdej klasy w osiedlach — na początku roku szk. przynajmniej przez pół miesiąca i pod koniec roku szk. również przez pół miesiąca, wyszkoli młode pokolenie przez czas nauki gimnazjalnej. otrzymamy wtedy młodzież prawdziwie wychowaną, zdającą sobie w dużej mierze sprawę z wagi życia i idącą naprzeciw życia z zapałem wyrozumowanym. wtedy spewnością nie będzie utyskiwań w takim stopniu, jak dziś, na słomiany ogień wszelkich poczynań.

Częstochowa ma odegrać swoją rolę w taki, czy inny sposób, ponieważ ma trzy osiedla:

1) osiedle żeńskie gimn. państw. im. J. Słowackiego w Olsztynie,

2) osiedle męskie gimn. państw. im. R. Traugutta w Olsztynie,

i 3) osiedle męskie gimn. państw. im. H. Sien-

kiewicza w Kamienicy Polskiej.

we wszystkich osiedlach praca jest rozpoczęta i powinna ujmować wielość przejawów życiowych w programie wspólnym.

ale myliłby się, kto sądziłby, że na tem skończy się praca pedagogów.

* * *

sprawą następną i to bardzo pilną, jest brak **bursy** uczniowskiej, zorganizowanej wzorowo. **jednostki** dopominały się od lat paru o budowę bursy, która byłaby własnością albo jednego, albo wszystkich Komitetów Rodzicielskich gimnazjalnych. brak bursy o tyle jest niemiły, że pozwala na różnorodność oddziaływań wychowawczych na stancjach, co nie odpowiada wymaganiom życia dzisiejszego.

i dlatego budowa specjalnego budynku internatowego, rozplanowanego i urządzonego nowocześnie, tak, jak osiedla częstochowskie, jest sprawą nietylko pilną, ale bardzo palącą. — po wakacjach młodzież dojeżdżająca powinna znaleźć się w bursie, wzorowo zorganizowanej!

kto ma tem zająć się? wszyscy.

bursa taka będzie znakiem widomym spójni społecznej mieszkańców Częstochowy.

* * *

spraw pedagogicznych jest wiele. zajęliśmy się obecnie tylko niektóremi. — jak potrzeba wykazuje.

omówienie dopiero całości oddziaływań pedagogicznych stawi przed oczy nasze ogrom oraz wagę wychowania.

TEOFIL KRAKOWSKI.

Teatr i kino... częstochowskie

Pisać o teatrze naszym, dzisiejszym, — to znaczy wracać stale myślą do tych czasów, kiedy Ivo Gall zawitał do Częstochowy, osiadł w ruderze, nakrytej dachem, powyrzucał deski, przepierzenia, zaprzągł dziesiątki ludzi do pracy wielkiej, czego efektem końcowym stała się bombonierka, jakich mało w Polsce.

Dziś ten sam Gall, utalentowany uczeń Stanisława Wyspiańskiego, rzuca podwaliny pod teatry peryferyjne Warszawy, — z różnym skutkiem w trudzie syzyfowym. Boć to trud i męka niesłychana grać częstokroć bez kostjumów, bez pomocy technicznej, odbywając próby na strychach... w stolicy!

...ale taka jest dola posłannicza krzewiciela sztuki...

To też tem wdzięczniej wspomnieć należy zasługi Galla dla Częstochowy — poprzez urządzenie bombonierki z salki Teatru Kameralnego — do wystawiania sztuk konkursowych: Pan Jowialski: Cień, Stefek: Sędziowie; Róża i t. d.

Nie zrażał Galla brak środków materjalnych, ani obojętność teatralna nieteatralnego społeczeństwa częstochowskiego, spowodu braku tradycji teatralnej. To też trzeba przyznać, iż Gall dopiero zaczął stwarzać tę tradycję, opartą na wzorach i wskazaniach Wyspiańskiego. Najlepiej uwydatniło się to podczas wystawienia „Sędziów“, kiedy przygotowania do gry konkursowej przeszły oczekiwania wszelkie, a pomiary sceny do dokładności centymetra, jakoteż ruchy aktorów, ściśle obliczone w planach sytuacyjnych, musiały uwydatnić ważność przedsięwzięcia.

Ale zbyt daleko idziemy w przypomnieniach naszych: wróćmy do teraźniejszości, mimo paradoksalnego wystylizowania myśli biegnącej...

Dziś widzimy również umiar.

Dyrektor Brodzikowski, objąwszy miejsce kierownika artystycznego teatru naszego, kroczy spokojną linją dotychczasową, pogłębiając nurt życia teatralnego Częstochowy.

Wprawdzie i dziś są dnie, kiedy zobaczy się to, co widziało się na odczycie Choromańskiego, ale zasadniczo sytuacja stale polepsza się: publiczności teatralnej przybywa — i — miejmy nadzieję, za lat kilka wszyscy mieszkańcy grodu podjasnogórskiego będą wiedzieli, że Teatr Kameralny jest na ul. Kilińskiego.

A warto o tem wiedzieć! — chociażby ze względu na to, że *Raz się tylko żyje*, jak mówi Kiedrzyński — a *Pieniądz — to nie wszystko*, jeśli dopowie sobie widz, patrząc i słuchając komedji Władysława Bus Feketego.

Ów repertuar lekki jest dobrany szczęśliwie,

gdyż pozwala publiczności zaznać wytchnienia przy jednoczesnym dreszczyku na temat nieprawości „tego świata“. Można zresztą mieć dużo zastrzeżeń o „taniej“ lub „drogiej“ psychologji obu autorów, ale



Michał Choromański.

to już wykracza za ramy recenzji teatralnej, czy też sprawozdania z tych sztuk. Wracajmy zatem na widownię.

Publiczności — około 70% ilości miejsc, a więc: widzowie premjerowi. Aktorzy, jak zwykle, wszyscy.

Kurtyna usuwa się i przez trzy akty oglądamy tę, która z kaprysu musi mieć dwóch mężów, jako że „i to pachnie — i to nęci“, choć finale zakończy się wcale nieromantycznie: pośród miłosnego jadła — biedna ptaszyna z głodu padła...

Trzeba przyznać, że rolę chłystka, boć nie Don Juana, dobrze oddał Kłusek, doprowadzając widzów do przekonania, że Czerczyński naprawdę mocno wykarbuje mu skórę za Julcię...

Byłoby to wtedy gorszące i budujące...

Jak kto woli. —

Dekoracja, trzeba przyznać, idzie po linji jakgdyby wskazań Galla. — Można nie zgadzać się w szczegółach, można czynić zarzuty perspektywiczne, ale, ogólnie biorąc, harmonja linij prostych dobrą stanowiła oprawę do psychologji sztuki, wcale nieskomplikowanej.

Inaczej natomiast przedstawia się strona dekoracyjna w „Pieniądz to nie wszystko“.

Komplikacje, pozornie większe, komplikują zaraz dekoracje: — trzeba otwierać pudełka z dykty!

Kto nie wierzy, niech uwierzy! — rzecz pocieszna i bezpieczna: palca nie przytrzaśnie, chyba Henrykowi von Binder‘owi, że, mając własną żonę, zamierzał zbałamucić służącą, ale służącą-profesorkę, która, nie mogąc otrzymać zajęcia w gimnazjum, zgodziła się na służbę.

Tak. — To już trochę więcej, aniżeli trójkąt Kiedrzyńskiego! Raczej analogja do jego Kajtusia — profesora psiego, znakomicie odegranego za Galla przez p. Malinowskiego.

Otóż profesorka Marja, pełniąc funkcje służącej, też uczyła: pana, panią, kucharkę i dozorcę — piłkarza. — Uczyła: godności, mówienia, zachowania się, a nawet jedzenia, choć nikt jej za to nie płacił,

bo posłannictwo nauczyciela jest nieopłacone!,
bo posłannictwa tego również nie kupi się, —
bo braku posłannictwa nie da się zamaskować.

Uzewnętrznia się ono w czynach, mających podłoże idealistyczne, uwzględniające jutrzejszą szczęśliwość wychowanka i ucznia. Bez zdawania sobie sprawy z celowości poczynań, nie może być mowy o skuteczności oddziaływań: wtedy mówi się o zakłamaniu obustronnem. — Tego zakłamania nie znajdujemy ani u Marji, ani u Karola, a chęć wprowadzenia go pod koniec sztuki, co uchodzi zwykle za sztukę życia, staje się próbą nieudolną, silnie skarconą.

Słuszność zwyciężyła...
... i to daje nam właśnie zadowolenie.
Jak zwykle zresztą.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Dwa szczegóły dekoracyjne zasługują na uwagę: dekoracja na scenie i dekoracja na widowni. — Dekoracja na scenie — to życie nizin, tych nizin, tkóre tak znakomicie opisuje Zapolska i Przybyszewski, jako że znali je doskonale...

Dekoracja na widowni — to: 1) biuro pośrednictwa pracy, biuro charytatywne i 2) mieszkanie dozorcy, jako przybytek pracy i uczuć szlachetnych. Kontrastowość ta jest bardzo potrzebna, jeśli ma się zaznaczyć tragiczny sens komedji życia —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Odmiennym typem jest komedja muzyczna *Jim i Jill* Greya i Newmana w przekładzie Marjana He-

mara, wystawiona dużym nakładem pracy i pieniędzy — w czerwcu r. b.

Niewątpliwy sukces odniosła para gościnna, to jest: pani Hanna Wańska i p. Stanisław Iwański. I gra ich i tańce, układu p. M. Statkiewicza, baletmistrza Teatru Wielkiego w Poznaniu, stały na poziomie wysokim. Barwie i technice głosu pani Wańskiej nic nie można zarzucić, a „pantomimą pracy" można się zachwycać naprawdę. Para gościnna popisała się znakomicie tą pantomimą.

Trudności techniczno-orkiestralne dyrekcja pokonała zwycięsko. Prof. Bursik i p. Jałowicki zrobili więcej, aniżeli mogli, wobec braku właściwego motywu muzycznego, co jednak nie przeszkadzało przyjemnie przysłuchiwać się muzyce, śpiewowi oraz przypatrywać się tańcowi. Wprawdzie czuje się żal wtedy do teatru naszego, że nie pomyśli o wystawieniu najłatwiejszej choćby operetki, ale trudno! Wedle stawu — grobla; zresztą i tak dużo kosztowała wystawa komedji muzycznej, a kwota złotych kilkuset w budżecie Teatru Kameralnego — to pozycja bardzo poważna! Nienadaremnie zatem dźwięczy frasobliwa śpiewka policjanta Merksa, romantyka i żołądkowca jednocześnie, aczkolwiek z właściwościami poetyckiemi bardzo miłemi, bo swojskiemi, to znaczy — układem i rymami częstochowskiemi:

...nasz teatr w Częstochowie
część publiczności swojej ma,
bo większość Częstochowian
to tylko kino zna!
No, czy to jest w porządku?
Z czego my możemy żyć?

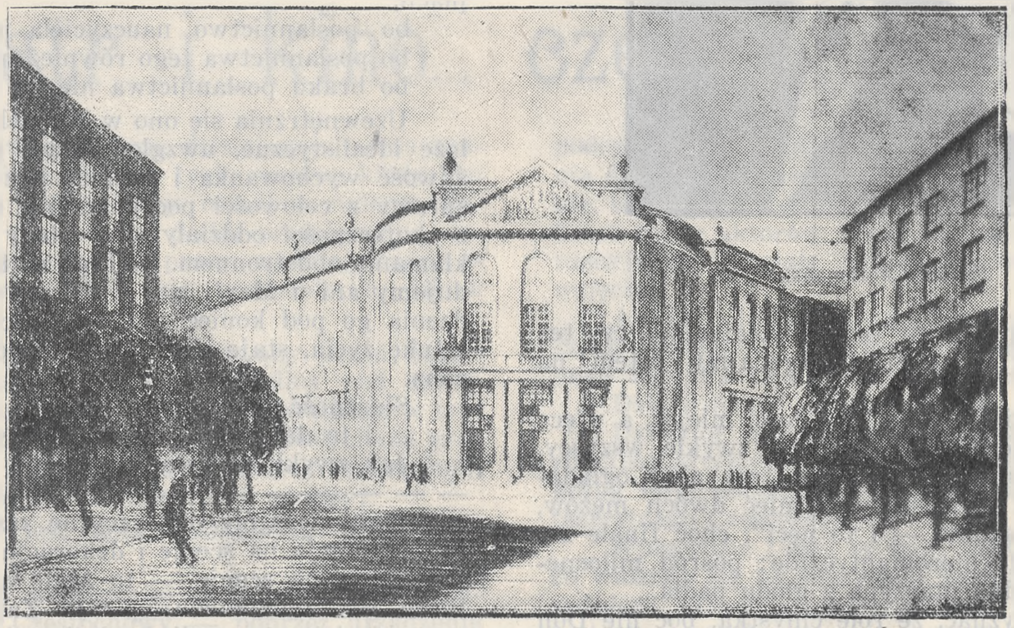
Tak było od początku,
lecz tak nie może być!
Lubicie obce filmy?
Trudno! Taki jest gust Wasz!
Bywajcie jednak u nas,
bo to jest teatr Wasz!

Tak było od początku
naprawić jednak czas!
Przychodźcie do nas wszyscy,
bo my kochamy Was!...

Troska słuszna i warto dać odpowiedź tylko jedną: tłumnie pospieszyć do teatru, aby obejrzeć wszystko. Dekoracje też! Zresztą ciekawe, bo bez horyzontu.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Nasuwa się pytanie, jakie rozwiązanie dekoracyjne tych sztuk znalazłby teatr nasz, gdyby wresz-



Model Teatru Kameralnego w Częstochowie.

cie umieszczono go na pierwszem piętrze budynku właściwego?

A każdy z nas przyzna, patrząc na ten model, że salka kameralna, mieszcząca dwieście trzydzieści miejsc, nie może spełniać należycie roli, jaką powierzono jej. — To też w interesie kulturalnym Częstochowy leży, aby gmach dziewiczy Teatru Miejskiego ucywilizować, czyli dostosować do warunków i potrzeb miasta studwudziestopięcio tysiącznego, co pozwoli na rozpoczęcie właściwie odpowiedniej propagandy teatralnej — nie opóźniając chwili spełniania należytej roli salki kameralnej.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— A kina?

— Odpowiedź w Nr. 2 „Czasopisma Literackiego".

WIADOMOŚCI ARTYSTYCZNO-LITERACKIE



Jan Wiktor — laureat krakowski.

Jan Wiktor — znakomity powieściopisarz krakowski — który niedawno zachorował w Belgradzie podczas wycieczki akademickiej i zmuszony był pozostać przez pewien czas w lecznicy tamtejszej, powrócił do kraju.

Dnia 15 czerwca r. b. otrzymał nagrodę literacką miasta Krakowa za świetną powieść ostatnią — „Orka na ugorze". —

Autorowi **Srogiego psa i sentymentalnego zająca** oraz **Orki na ugorze,** który powrócił do kraju drogą okrężną przez Rumunję, spowodu „przyjacielskiego" ustosunkowania się Czechów, życzymy dobrego zdrowia i wypoczynku.

*

Jan Kiepura — chluba Polski — śpiewać będzie na dziedzińcu wawelskim w dniu 24 czerwca r. b.

Dochód ma być przeznaczony na budowę Muzeum Narodowego w Krakowie.

Cena biletów od 2 zł. do 15 zł.

Dobrze byłoby, aby nie dopuszczono do przedsprzedaży biletów ajencyjno-procentowych, co w imprezie artystycznej pozostawia dużo niesmaku.

*

Wł. Rudlicki — artysta malarz częstochowski — ukończył nowy obraz p. t. „Brzask" — o nadzwyczajnej wartości artystycznej.

*

2,000 zł. wyniesie nagroda za najlepszy film polski krótkometrażowy. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zatwierdziło statut tej właśnie nagrody, która w dziedzinie filmowej przyznawana będzie rok rocznie, jako nagroda I; ponadto przewiduje się dyplomy honorowe.

*

Literaci częstochowscy zrzeszają się przy Czasopiśmie Literackiem i przy Drugim Torze, który również wydaje własne pismo.

Bibljografja Częstochowy, opracowana przez Józefa Mikołajtisa i Bronisława Wacławskiego.

Mając na uwadze dorobek kulturalny miasta naszego, wprowadzamy dział bibljograficzny, wykazujący wiele inicjatywy prywatnej, wydawniczej. W pierwszym numerze podajemy wydawnictwa Antoniego Gmachowskiego. Zaznaczyć należy że wydawca zainicjował w r. 1925 Książnicę Narodową, wydaną w siedmiu tomach — oraz Bibljoteczkę Najpiękniejszych Bajeczek i Powiastek — z r. 1936-go. Do tego czasu odczuwało się brak literatury dziecięcej na rynku księgarskim Częstochowy. Nazwiska autorów: Krzemieniecka, Morcinek, Ossendowski, Rabska — świadczą o poziomie powiastek i bajeczek. Na miejscu będzie uwaga, że wydawca ofiarował 75 sztuk każdego tomiku Bibljoteczki — szkołom powszechnym na Kresach Wsch.

G. D'Anunzio: Dziewice wśród skał. Przekł. L. Staffa Częstochowa 1925.

W. Berent: Fachowiec — powieść z przedmową Dr. St. Pazurkiewicza. Częstochowa 1925.

Dr. Wł. Biegański: Myśli i aforyzmy o etyce lekarskiej. Częstochowa 1925.

A. Gruszecki: Krety — powieść z przedmową Dr. St. Pazurkiewicza. Częstochowa 1925.

Dr. M. Janik: Dzieje szkolnictwa polskiego. Częstochowa 1924.

J. Korzeniowski: Spekulant Kollokacja — z przedm. Dr. St. Pazurkiewicza. Częstochowa 1925.

Wł. Kozicki: Ziemia — powieść. Częstochowa 1925.

I. J. Kraszewski: Stara Baśń — z przedmową Dr. St. Pazurkiewicza. Częstochowa 1925.

F. Kuraś: Przez ciernie żywota — z przedmową St. Żeromskiego. Częstochowa 1925.

St. Lack: Studja o St. Wyspiańskim — z przedmową Dr. St. Pazurkiewicza. Częstochowa 1924.

St. Lack: Fragment — powieść — z przedmową Dr. St. Pazurkiewicza. Częstochowa 1924.

A. Lange: W czwartym wymiarze — opowiadania. Częstochowa 1924.

W. Łoziński: Zaklęty Dwór — powieść z przedmową Dr. St. Pazurkiewicza. Częstochowa 1925.

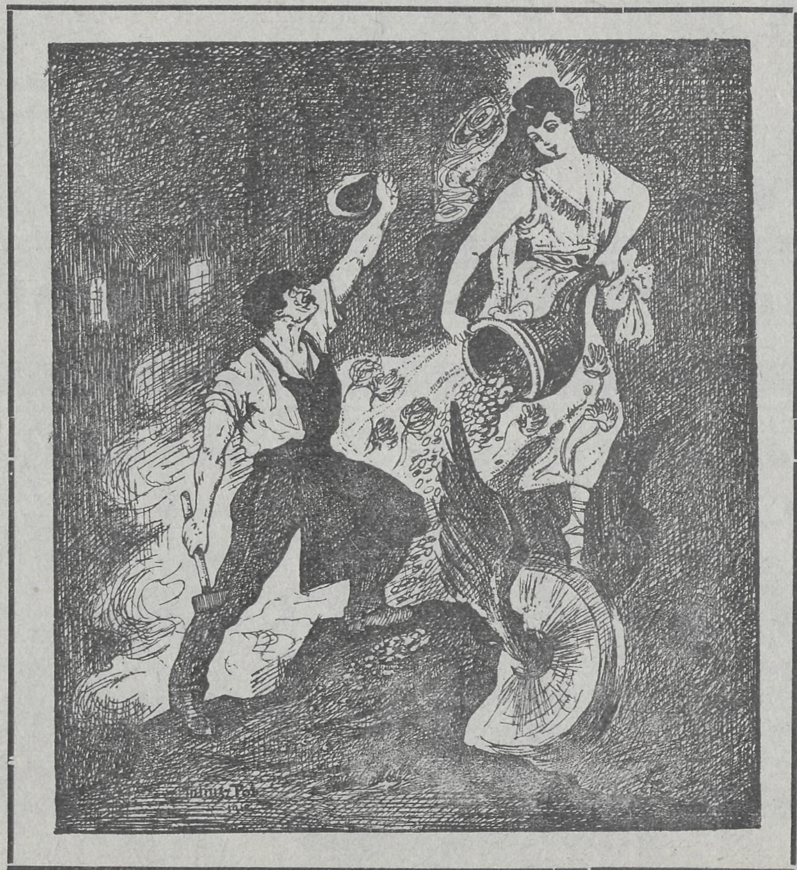
Skład Główny:
Gebethner i Wolf, Dom Książki Polskiej
w Warszawie.
Druk w Zakładach Graf. F. D. Wilkoszewskiego.

D. c. w następnym numerze.

Wydawcy: L. Kucharski i J. Mikołajtis. Redakcja „Czasopisma Literackiego": ulica Strażacka nr. 30.
Redaktor odpowiedzialny **Ludomir Kucharski** przyjmuje we wtorki i czwartki od godz. 15 — 16.

Druk. F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie.

Dział



ogłoszeń

W TŁOCZNI
F. D. WILKOSZEWSKIEGO
W CZĘSTOCHOWIE
II ALEJA N. 38